

## LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

### Początek niedoli

(Sobota, 10 lutego 1940 roku)

Skutków wojny nie odczuwałam. Nie byłam głodna, niewiele zmieniło się w moim otoczeniu. Czasami płakałam (więcej ze złości niż z przerażenia), bo wieczorami zamiast wygodnie spać w swoim łóżeczku, wyprowadzała nas mama pod płot w gęste zarośla. Ścieliła tam koce, przykrywała koldrami (bez kopert, żeby nie rzucała się w oczy biel pościeli) i kazała zachowywać się cicho. Ukrywała nas przed Ukraińcami, którzy już wtedy napadali i mordowali Polaków. Z drugiej strony płotu mieszkał dzierżawca ukraiński, mama mogła przypuszczać, że bandyci nie domyślą się, że właśnie tam nas ukrywa. Ten dzierżawca był porządnym człowiekiem, o czym przekonaliśmy się nie raz.

Potem przychodzili do nas ludzie i zabierali nasz dobytek, jak swój. Przeważnie byli to ci, którzy kiedyś u nas służyli lub pracowali, oczywiście Ukraińcy. Widziałam, jak mama stała z załamanyimi rękami i w milczeniu patrzyła na grabież swego życiowego dorobku.

Przyszł również dawny nasz służący i wybierał co ładniejsze sztuki bytła dla siebie. Kiedyś służył u nas. Byłam małeńka i on bardzo mnie lubił, nosił na rękach i śpiewał śliczne ukraińskie dumki. Do roboty nie pałił się. Mama popędzała go, a on mówił:

*- Idyt wy, pani, korowy, pasty, a ja budu detynu bawyty.*

Mama śmiała się i mówiła, że jak on będzie panem, a mama sługą, tak właśnie będzie. Parobek niechętnie oddawał mnie dziewczynie i szedł wolno do roboty. Teraz przyszedł i przypomniał mamine słowa. Mama spytała:

- A czy to, co mam, zabrałam komuś?

W każdym razie osadnicy zaczynali się obawiać o swoje rodziny, myśleli o obronie. Tato i inni osadnicy wychodzili w nocy na warty, pilnowali poczty i innych obiektów. Ja jednak się nie bałam. W domu był „wszystkomogący” tato i to było najważniejsze. Przy tacie nic złego nie mogło nam się stać. Nie wiedziałam, co to jest zagrożenie. Cieszyłam się, że Euzebiusz jesienią nie pojechał do szkoły. Wyobrażałam sobie, jak będzie mnie wozić na koniach, na sankach i będę się miała z kim bawić. Bardzo go kochałam.

Słyszałam, jak osadnicy mówili, że kierownik ostrowskiej szkoły, pan Buciewicz, cierpi głód z rodziną, a potem, że jest więziony i maltretowany przez Ukraińców, że ma powykręcane ręce i nogi, że więziono wielu Polaków, lecz ja ciągle nie bałam się, jeszcze tego nie rozumiałam. Byli rodzice, byliśmy wszyscy w domu i to było najważniejsze. Wszystko inne wydawało się mniej ważne.

Nastała zima, a wraz z nią Boże Narodzenie. Była choinka i dużo radości. Czekaliśmy na nas napięczone i nagotowane wspólniałości. Tylko tato niczego nie upolował. Nie miał już broni.

Bracia moi szaleli na koniach i na nartach. Nie przypominam sobie smutku na ich twarzach z powodu nie chodzenia do szkoły. Wiem, że dorośli byli w ciągłym napięciu, byli smutni i zadumani. Sąsiedzi wpadali do nas potajemnie, w nocy. Mężczyźni radzili o czymś i potem rozchodzili się pojedynczo. Pełna „dumy” cieszyłam się, że tato jest ten „najważniejszy”, bo to do nas przychodzono na narady.

I oto nastąpiła sobota 10 lutego 1940 roku. Spaliśmy jeszcze, gdy nagle ktoś zaczął łomotać do drzwi i krzyżeć: *Otkroj*. Było może po szóstej. Tato wyjrzał przez okno i zobaczył kilku żołnierzy radzieckich i kilka par sań, woźniców jednak nie rozpoznał.



Tata - Walenty Tais, 1932

Mama otworzyła drzwi i do mieszkania wszedł oficer *enkawudzista*. Pamiętam tylko jego sylwetkę, nie potrafię opisać jak wyglądał, wiem, że był Rosjaninem. Kilku żołnierzy na koniach otoczyło dom i podwórze. Obie z siostrą byłyśmy zaciekawione co się dzieje.

Oficer zapytał, czy w domu jest broń. Rodzice zaprzeczyli. Mimo to kazał żołnierzom robić rewizję. Mama zapewniła, że

broni w domu nie ma. Faktycznie nie było, tato oddał ją organizacji, chyba w Łucku, która przygotowywała obronę Polaków przed Ukraińcami. Zaprzestano więc rewizji. Okazało się, że dwaj bracia Euzebiusz i Emil poszli wcześniej jeździć na nartach. Oficer polecił poszukać ich i przyprowadzić. Natomiast tacie kazał usiąść z rękami na stole i nie ruszać się. Sam też przy nim usiadł. Powiedział, że mamy dwie godziny na spakowanie rzeczy i należy się śpieszyć. Przy czym trzeba brać żywność, ciepłą odzież, piły, topory, słowem wszystkie narzędzia, które przydadzą się do pracy w lesie. Do mamy zwracał się bardzo grzecznie, można by określić wyszukanie. Niemal każde zdanie zaczynał lub kończył słowem „madame”. Głośno wyraził swój podziw dla maminego rosyjskiego. Spytał, gdzie

tak pięknie nauczyła się mówić po rosyjsku. Odpowiedziała, że z dziada pradziada tutaj mieszkają, że to przecież był zabór rosyjski. Przełknął tę odpowiedź i nie odzywał się dłuższy czas. Mama odważyła się i spytała dokąd nas wiozą i po co, dodała, że pewnie na Sybir, ale oficer zaprzeczył. Wtedy mama kazała Emilowi nakarmić bydło i rzucić słomy pod nogi, by nie przemarzły.

Enkawudzista pozwolił mu pójść z żołnierzem.

Mama wrzucała do kufra to, co jej nawięło się pod rękę. Oficer wstawał od stołu, podchodził do mamy i starannie układał rzeczy, mówił przy tym, że jeżeli będą ułożone, a nie rzucone byle jak, to więcej rzeczy się zmieści. Głośno zachwycał się też kufrem. Mama powiedziała mu, że w nim składana była wyprawa dla niej, od urodzenia do wyjścia za mąż. Kufer istotnie był duży i kuty, aby go unieść, trzeba było dobrych kilku siłaczy.

Mimo nie najgorszej atmosfery nikt z przybyłych nie powiedział dokąd nas wiozą. Od oficera począwszy, a na woźnicach kończąc, wszyscy mówili: *w drugiej rajon*. Podejrzewam, że jedni bali się drugich.

Poprzedniego dnia tato przygotował karmę dla pszczoł. Poprosił więc oficera, by mógł ją zanieść do uli, bo zima jest sroga i pszczoły mogą umrzeć z głodu, zanim wrócimy. Oczywiście oficer poszedł z tatą do sadu. Nawet tam, gdy byli sami, nie zdradził się ani jednym słowem, że tutaj już nie wrócimy, że ten *drugiej rajon* to Sybir. Jakże mógł ten bezduszny człowiek patrzeć na to, że w takiej chwili tato ratuje pszczoły, zamiast brać wszystko by chronić dzieci przed niechybnym głodem i śmiercią.

Na strychu stały cztery banie z miodem, ale wzięliśmy tylko dwie, po cóż więcej, skoro niedługo wrócimy?

W domu nie mieliśmy upieczonego chleba. Była sobota i chleb „rósł” w dzieży, a ciasto w niecce. Przepadaliliśmy za drożdżowym ciastem, każdej soboty mama je piekła. Wydawało mi się, że nie ma nic lepszego nad drożdżowe ciasto z owocami.

Z podniecenia prawie nie jedliśmy śniadania. W ciągu tych dwóch godzin mama spakowała to, co jej wpadło w ręce i przewieziono nas do Ostrowa. Przed wyjściem mama przysiadła, a oficer uśmiechnął się i powiedział, że to ruski zwyczaj i dobrze, że mama go zna, bo przyniesie „szczęście”.

Gdy otworzyliśmy drzwi, by usiąść na saniach, omal nas nie wepchnęło do środka. Szalała straszliwa zamieć. Śniegiem kręciło że światła nie było widać, olbrzymi mroź zapierał dech w piersiach. Oczy mi się załzawiły i od razu zrobiło mi się zimno i smutno. Zajechaliliśmy do domu popa w Ostrowie (pop wraz z rodziną w lecie, jeszcze przed inwazją sowiecką, uciekł w głąb Polski). Mama rozpałała pod płytą i zrobiła nam coś gorącego do zjedzenia, a przy otwartych drzwiach ogrzewaliśmy ręce i nogi. „Popasaliśmy” tutaj chyba z pięć godzin. Oficer od czasu do czasu popędzał nas do dalszej jazdy. Mama głośno denerwowała się, że tyle czasu jesteśmy w domu popa, a przecież mogliśmy być w naszym domu i mama więcej by wzięła, a nie tak na chapu-capu, ale enkawudzista milczał.

Nagle usłyszeliśmy szczekanie psa. Z miejsca poznaliśmy głos naszego kochanego Negra. Jak nas znalazł, skąd się tutaj wziął? Przed wyjazdem tato przywiązał go, bo rzucał się i szczekał na żołnierzy, a tato nie chciał, aby go któryś zastrzelił. Wszyscy wybiegliśmy rzuciliśmy się z płaczem i krzykiem na psa. Tuliliśmy mokry łeb przyjaciela, całowaliśmy go i płakali razem z nim. Na szyi nie miał paska. Widocznie zerwał go, gdy wyjechaliśmy. Dobre psie serce. Prawdziwy przyjaciel, odnalazł nas mimo zawieruchy.

Negro miał dwanaście lat. Był rówieśnikiem Emila, podobnie jak sad i pasieka.

Z Emilem łączyła się dziwna przepowiednia, która (z małymi wyjątkami) spełniła się prawie dokładnie. Kiedyś tato usłyszała ją od „Czarnej Pani”. Pojawiła się ona w życiu taty po raz pierwszy w 1916 czy 1917 roku. Ciężko ranny leżał w szpitalu polowym i nagle, jakby spod szafki, wyszła ubrana na czarno dama. Usiadła na łóżku. Zaproponowała mu grę w karty. Tato ją ograł. Rozwścieczyła się i goniła za nim z nożem, a tato uciekał ile sił w nogach i chował się w nieznanej studni. Przy „sko-

ku” do studni spadał z łóżka, a „Czarna Pani” znikła. Nie zdradzał się przed siostrami, co go trapi, ale prosił je, by mu nie dawały długo spać. Wzruszały ramionami i odchodziły do innych rannych, a tato wpadał w malignę i znów wylaniała się „Czarna Pani”. Powtarzało się to zawsze wtedy, gdy męczyła go wysoka gorączka. W 1920 roku pod Kijowem znów się pojawiła. Powiedziała mu, że nie wróci w swoje strony, że zamieszka na Wołyniu. Znów grali w karty. Prosiła go, aby choć raz pozwolił jej wygrać, ale tato zawsze ją ogrywał, więc go znów goniła i rzucała nożem. Po wojnie 1920 roku zapomniał o niej. Zjawiała się ponownie gdy rodzice byli już małżeństwem i mieszkali w wynajętym domu w Beresteczku „Na Piaskach”. Tato kończył budowę domu na osadzie, urządził gospodarkę a mama z dwoma synami ciągle przebywała w Beresteczku. Niespodziewanie tato zachorował i znalazł się w szpitalu. Mama spodziewała się trzeciego dziecka. Przyszła do taty i dowiedziała się od niego, że będzie mieć syna. Zdziwiła się, że tato opowiedział wszystko o „Czarnej Pani”. Mówił, że go odwiedza i opowiada, co się dzieje w gospodarstwie, który z parobków dobrze pracuje, który kradnie, jakie zwierzęta chorują itd. Ostatnio powiedziała, że urodzi mu się syn, a na imię będzie miał Emil. Ona się nim zaopiekuje ale tylko wtedy, jeżeli będzie mieszkał na zachodzie Polski i uprawiał pięć hektarów ziemi. Mama uznała, że tato bredzi, więc poradziła, by zastrzelił „Czarną Panią”. Podczas następnej matnej wizyty w szpitalu tato był niespokojny i powiedział do mamy, że nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie, bo „Czarna Pani” bardzo się na nią rozgniewała. Powiedziała:

- Co twoja żona cierpi do mnie, ja jej niczego złego nie zrobiłam, niech mnie zostawi w spokoju.

Mama nie na żarty się wystraszyła i nigdy więcej na temat „Czarnej Pani” nic tacie nie mówiła, a trzeciemu dziecku dano

na imię Emil. Po powrocie do Polski (z tajgi) Emil był na Dolnym Śląsku i gospodarował na paru hektarach ziemi, a gdy tylko wyjechał na wschód Polski - zginął tragicznie na polowaniu pod Przemyślem.

Negro wychowywał się z Emilem. Razem zasypiali, gdy Emil był malutki, razem jedli z jednej miseczki. Emil podnosił miseczkę wysoko nad główkę, a pies (oczywiście był wtedy dorosłym psem) skakał i chwytął, ile mógł i zjadał. Mama widząc to krzyczała: „Nie jedz tego, zostaw dla pieśka, synciu”, ale Emil uciekał z miseczką i zjadał co mógł zanim pies mu nie zabrał. Kiedy Emil wpadł pod lód, dzięki Negrowi go uratowano. Rozumieli się i kochali jak bracia, jak przyjaciele.

Teraz pies ziajał gorącym oddechem na kolanach Emila, a ten objął go, całował i płakał. Zresztą płakaliśmy wszyscy. Negro każdego z nas lizał, kto się nachylił, by pogłaskać go czy przytulić jego pysk. Skamlał i drżał. Emila lizał po rękach, po twarzy a obaj płakali. Wszedł *strielok* i kazał wyrzucić psa, bo trzeba jechać dalej. Pies warczał i jeżył sierść, żołnierz bał się podejść więc zdenerwował się i powiedział, że zastrzeli psa, jeżeli go nie wyrzucimy. Wyrzucił Negra... Tym razem Emil uwiązał go na postronku. Nie patrzyliśmy na rozpaczanego psa, tylko Emil klęczał i przyciskał czoło do jego grzbietu. Pojechaliśmy dalej do Tyszuchowa, choć serca się krajały. Rozpaczliwy skowyt Negra do dziś pozostał w mojej pamięci.

Niestety, zamieć nie ustawała. Po wyjściu z ciepłego domu popa wydawało się, że jeszcze bardziej nasila się mróz i zawieja. Po prostu świata nie było widać, śnieg dostawał się za kołnierze, do rękawiczek, do butów. Jadąc myśleliśmy wszyscy o psie, a jego głośnie, chwytające za serce, jakby ludzkie - „o-jej, o-jej” - dolatywało do nas skroś zamieci i zawiei. Skarzyliśmy się z siostrą, że jest nam zimno. Mama otulała nas swoimi futrami. Mnie samą owinęła w obszerne futro z wilków, bo już kasłałam,

byłam słabego zdrowia i mama bardzo się bała, abym nie dostała zapalenia płuc. Na poboczach drogi stali Ukraińcy i patrzyli na nas wrogo i z przerażeniem. Może niejeden z nich myślał, że ich to samo czeka...

W pewnym momencie zobaczyliśmy służącego Wołodkę, który na widok taty zerwał czapkę z głowy i uśmiechał się z zażenowaniem. Tato lubił go, bo był to dobry i mądry chłopiec.

Tato powiedział:

- Żegnaj Wołodka, a pilnuj koni, wrócimy tutaj.

Nic na to nie odpowiedział, lecz przestał się uśmiechać i tak jak inni patrzył ponuro.

Usłyszeliśmy szum i wrzawę, to kilku Ukraińców przeklinało nas, a inni ich uciszali.

Nam się znów zachciało się jeść. Nagle mama przypomniała sobie, że w kominie wędziły się dwie szynki, o których zapomniała i jakby to była największa strata, rozplakała się gorzko, aż obejrzał się woźnica. Tulila nas do siebie i przez łzy mówiła: „Tam chleb pewno już „wyszedł” z dzieży, a moje dzieci są głodne, tyle godzin straciłyśmy w hacie popa”.

Wjechaliśmy na asfaltową drogę (chlubę wszystkich osadników, bo sami ją zbudowali) i tutaj dopiero zobaczyliśmy, jaki panował tłok. Trzeba by malarza by to odtworzyć. Ze wszystkich osad dookoła jechali osadnicy. Był to niesamowity widok. Wszyscy - i ludzie, i konie wyglądali jak białe zjawy zasypane śniegiem. O zmierzchu robiło to jeszcze większe wrażenie.

Naszego woźnicę coś nurtowało przez cały czas, bo gdy tylko znalazł sposobność (żołnierze zostali w tyle), nachylił się do mamy i spytał dlaczego nie wzięła ściennego zegara, on by go kupił i dobrze zapłacił. Mama zapytała, dlaczego w domu o to nie poprosił, odpowiedział, że bał się enkawudzisty. Dodał jeszcze, że wiozą nas na Sybir, on to wie. Mama zachnęła się i niemal krzyknęła.

- Czemu, żeś człowieku nie powiedział tego wcześniej? Moje dzieci pomierają z głodu, a tam tyle dobra zostało!

Chwycił mamę za rękę i szepnął:

- *Tisze pani, ne gubyte mene i moich detyn* - odsunął się i zgarbił, bo enkawudzista coś zauważył i zbliżał się.

Zegar był bardzo stary i piękny (mama dostała go w posagu od swojej babki), inkrustowany złotem i wydzwanający kuranty i godziny. Nie tylko zegar poszedł na zatracenie, przepadł cały życiowy dorobek.

W tej karawanie ośnieżonej i niezwyklej prócz płaczu niemowląt panowała powaga i smutek jak na pogrzebie. Najżałośniej słychać było płacz dzieciątka pani Piskorskiej i jej samej. Trzymała swoje zawiniątko w objęciach i jakby kłęczała na saniach, kołysała je i przemawiała:

- Jak mam ci pomóc malutki, wiem, że jesteś głodny i mokry, jest ci zimno: jak mam cię przewinać, czym nakarmić, o Boże nasz, Boże!

Dziecko zanosilo się płaczem coraz boleśniej. Ten widok, jej i dziecka poruszył mnie, zaczęłam także płakać cichutko.

Nagle nasze sanie podskoczyły na zamarłej grudzie, uderzyły w słup telegraficzny i złamały się. Mój brat Euzebiusz upadł tak nieszczęśliwie, że lewa noga utknęła w przełomie płozy, była ściśnięta jak w kleszczach, a konie ciągnęły go po lodowatych koleinach. Brat krzyczał z bólu. Podbiegł tato i z pomocą innych wyjął go. Kolano miał potłuczone, sine i podrapane, a podudzie poszarpane. Noga nie była złamana, ale chyba zwichnięta, a kolano po prostu puchło w oczach. Brat jęczał z bólu i nie mógł się ruszać. Jeden z żołnierzy pomagał układać go na saniach, a słysząc jego jęki krzyknął tak, że chyba i enkawudzista słyszał:

*A bud on proklat i sam Stalin, zaczem on triewożył spokojnych ludiej.* Nasze konie wyprzęgnięto, nas ścieśniono na drugich saniach i już mieliśmy ruszać, gdy tato

podszedł do koni, przytulił twarz do ich drogich łbów, całował je i płakał. To było moje pierwsze ciężkie przeżycie. Nigdy dotąd nie widziałam, aby tato płakał. W moich oczach był uosobieniem wszechwiedzy, wszechmocy, siły i rozumu. Wierzyłam, że nic nie może mi się stać, gdy tato jest z nami. Potem mama mówiła, że widziała go płaczącego, gdy umarł Komendant i gdy przepadła Polska.

Już nic naszego nie było z nami: pies, konie, sanie - wszystko zostało po drodze.

Brat dostał gorączki, całą drogę jęczał i trzęsła nim febra. Mama siedziała przy nim i dotykała jego rozpalonej twarzy. Obie z siostrą siedziałyśmy cicho jak myszki, podświadomie wyczuwałyśmy powagę sytuacji.

W Tysłuchowie zawieziono nas do pięknej, bardzo dużej szkoły. Na ścianach wisiały haftowane i wyszywane przez uczennice makatki. W całej szkole wisiały lub stały na półkach i oknach kwiaty.

Rozmieściliśmy się na podłodze w klasach i dostaliśmy coś gorącego do zjedzenia. Przychodziły do nas bliższe i dalsze sąsiadki, witały się z mamą i płakały. Oczywiście my z siostrą też, bo płakała mama.

Pilnowali nas żołnierze i ze szkoły nie wolno było wychodzić dalej niż na dziedzińiec.

Wieczorem zobaczyłam gimnazjalną młodzież. Patrzałam na nich rozszerzonymi oczami. Wydali mi się piękni i wspaniali. Dziewczęta i chłopcy siedzieli na ławkach, byli w mundurkach, pokazywali sobie, jakie kto wziął książki, dyskutowali z iskrą w oczach. Byłam szczęśliwa, że wśród nich znajduje się mój kochany brat. Siedział w ławce a na drugiej trzymał zabandażowaną spuchniętą nogę. Ktoś dał mu łaskę. Był blady, cierpiał ale dołączył do kolegów. Stałam i patrzyłam na nich, oczywiście nie wiedziałam o czym mówią, ale byłam dumna.

Gimnazjaliści zorganizowali się natychmiast. Roztoczyli opiekę nad maluchami. Prowadzili nas do ubikacji, pomagali matkom myć dzieci, przynosili wodę, sprząтали sale. Znajdowali zgubionych i przyprowadzali do rodziców. Słowem porządek wzięli w swoje ręce. Tak naprawdę tam nie można się było zgubić, bo na zewnątrz stali, szcękając zębami i „zabijając” ręce, wartownicy i nie wypuszczali małych dzieci ze szkoły. Litościwe Polki dawały im chleb i kiełbasę. Oni zjadali to natychmiast, oglądając się, by ich *starszyna* nie widział. Im też było smutno i zimno.

Marysia i ja także nosiłyśmy jedzenie naszym „stróżom”. Dziękowali i w zamian dawali podle cukierki.

W nocy rozplakałam się, bo bolały mnie (a właściwie swędziały) nogi. Byłam uczulona, nie mogłam przebywać zbyt długo w obuwiu. Mama drapała mi stopy grzebie-niem, dmuchała na nie, ale nie mogłam usnąć i nie dałam usnąć mamie.

W klasach zrobiło się mokro i brudno od rozgniecionego butami śniegu. Parowały palta, kozuchy i buty. Duchota była nie do wytrzymania, toteż słyszało się wyłącznie wielki płacz. Tam, gdzie dzieci posnęły, umęczone matki starały się zaprowadzić jako taki porządek. Wczesnym rankiem budził nas znowu spazmatyczny płacz chorych i głodnych niemowlaków. Matki także płakały. Wiele straciło pokarm, a niemowlęta były głodne. To była gehenna. Starsi chłopcy i dziewczęta biegali i przynosili wrzątek. Mama dała nam chleba z masłem i miodem. Przeraziłam się, że nie ma z nami taty, ale dowiedziałam się, że na zmianę z innymi dyżurował przy rzeczach, bo niestety, rodacy już kradli jedni u drugich. Jakoś nie mogłam tego pojąć.

Ubrałyśmy się z siostrą i poszłyśmy pobawić się na podwórzu. Ale zabawa nam nie szła. Byłyśmy brudne, niewyspane i smutne. Mróz nie zelżał ani na jotę, więc szybko wróciliśmy do mamy, której od zaduchu i zmęczenia „pękała” głowa.

Pobyt w szkole przedłużał się. Nie mogliśmy się od nikogo dowiedzieć, ile ten przymusowy „popas” może potrwać. Ani żołnierze, ani oficerowie nic nam nie mogli powiedzieć. Z ulgą więc ładowaliśmy się na podstawione sanie. Było nam już wszystko jedno, dokąd powiozą, byleby nie przebywać w szkole.

Zawieziono nas do Werby. Koczowaliśmy tym razem w parterowej szkole. Chyba z tydzień czekaliśmy na podstawienie pociągów. Zaczęły pojawiać się wszy. Wyjęłam sobie z głowy i spytałam mamę, co to za robak. Organizowano niby gorące posiłki, ale nie były one do zjedzenia. Pocięliśmy się naszym miodem i serem. Masło już się skończyło.

Wreszcie przyszli żołnierze i kazali nam zbierać rzeczy. Pociągi już podstawione. Obie z Marynią ożywiłyśmy się trochę. Wzięłyśmy nasze tobołki i poszłyśmy za rodzicami. Euzebiusz kulał i podpierał się laską. Natychmiast zmarzłyśmy. Ręce i nogi drętwiały z zimna. Czekając na nasz wagon nawet nie mogłyśmy płakać, tak nam było zimno. Choć było po połowie lutego, zimno i mróz nie ustępowały. Jakiś litościwy *strielok* podnosił nas i wsadzał do oblodzonego bydłowego wagonu wołając:

- *Topi pieczku, topi pieczku.*

Ja to rozumiałam jakby - „tu pi piecku” - co napawało mnie otuchą, że tutaj jest ciepło. Nie wiem czemu tak myślałam. Jakaż zgroza ogarnęła mnie, gdy zobaczyłam nagie prycze i oblodzony, obsypany śniegiem otwór pełniący rolę ubikacji. Coś się we mnie załamywało, coś mi mówiło, że to już koniec z moim cudownym dzieciństwem. Wydawało mi się, że nad nami zawisł koszmar. Byłam zbyt mała, żeby uzmysłowić sobie to, co nas spotkało. Stałam i prawie zamarzałam...

...Latem tato i ja z siostrą odwieźliśmy mamę do pociągu. Jechała do Krakowa. Staliśmy na peronie. Oczywiście obie z siostrą płakałyśmy, bo mama wyjeżdżała.

Szarmancki konduktor otwierał mamie drzwi wagonu drugiej klasy i wskazywał miejsce. W szarym kostiumiku, elegancka i uśmiechnięta mama była piękna. Uśmiechała się do nas i machała ręką w mitence. Wybierała się na spotkanie z Prezydentem Mościckim i Rydz-Śmigłym. Było to spotkanie z wodzem naczelnym i ludzie krzyczeli:

- Nie damy Gdańska, nie damy Gdańska.

A on mówił:

- Nie damy guzika od naszego płaszcza.

Wtedy przywiozła nam krakowskie serdaczki: siostrze czerwony, a mnie niebieski...

...Teraz stałyśmy jak sople lodu. Z zimna i głodu już nawet nie płakałyśmy.

Mama z innymi paniami rozpałyły w „kozie”, zaczęły zatykać dziurę i robić dookoła niej „parawan”. Było nas tutaj osiem rodzin, po dwie na każdej z czterech prycz.

Nie było z nami naszych najbliższych sąsiadów: Barchertów i z tego też powodu posmutniałyśmy i było nam smutno także z tego powodu. Usiadłyśmy cichutko na przydzielonej nam pryczy i w milczeniu czekałyśmy na jedzenie i ciepło.

*Ciąg dalszy w następnym numerze.*